uni na Gazowe ulice fabrykowali te herbate, ale ja nie...

Uni dawali za dużo popiół. Jak im zabrali dwa cetnary te herbate, to buł prawie sam popiół i ogonki od stare herbatę albo kurz herbaczany... To co innego! Za trzy złote funt herbate — to buło u nich to samo, co za 30 groszy. Same wimoczki i popiół.

Żeby im sze co stało! Co oni nam, porządnym fabrykantom narobili!...

Co ja winien?

Ja przecie panom takie paskustwo nie sprzedaje, a jak przyńdzie taki głupi chłop, co chce dużo i tanio i w ładne paczke, to ja sze z nim targuje i on robi dobry interes, ja zarabiam... Co to szkodzi? Przecie taki cham sze nie pozna na herbate!

Ja jezdem niewinny, to zara poznali, bo jak ja ino złożył kaucyje, to mnie zaraz wypuszczali...

I wszystkie ludże gadają, co żydy — to złodzieje!

Ny bardzo wielkie szkode, co w te całe herbaczane sprawe nie ma ani jeden katolyk, ino same żydy... Bo jakby buł chocz jeden katolyk, toby można zara krzyknąć, co te antysemitniki to są bardzo podłe ludże..,

## Chłopski dowcip.

Ludzie podziwiają chłopski rozum. Mówią, że to rozum najlepszy.

Nie sprzeczam się, choć właściwie nie jest to rozum, tylko dowcip, spryt.

Oto świeży przykład:

Przyjeżdża chłop z furą drzewa do Warszawy a sprzedawszy je, staje przed apteką.

Była to godzina trzecia po obiedzie, chłopu się bardzo chciało jeść.

Ogląda się koło siebie, ogląda, nareszcie patrzy bystro w drzwi apteki i zaczyna się drapać po głowie.

Aptekarz spojrzał przypadkiem, nakoniec zdziwiony i zaciekawiony naiwną miną Bartosza, wychodzi i pyta:

— A czegoście to chcieli, człowieku?

— Ba, żebym to wiedział!

— Jakto?

— A no zapomniałem.

— Czegoście zapomnieli?

— A to wielmożny dziedzic ze dwora kazali mi czegosiś kupić w aptece i przepomniałem jak się to bestyjstwo nazywo.

— I za dużo pieniędzy mieliście to kupić?

— Dyć za sto złotych aże...

Aptekarz musnął się ręką po brodzie.

— To chodźcie, gospodarzu, do apteki, może sobie przypomnicie.

Chłop wszedł do środka, ale jakoś na rozliczne pytania i domysły aptekarza oraz jego pomocników nic sobie nie przypomniał, tylko ciągle odpowiadał:

— Nie, to nie. Ale dajta mi już pokój, bom głodny, trza pojechać na Siulec do zajazdu, to se tam podje, i może potem w tamty aptece dostanę, bo mi tam w zajeździe przypomną.

Aptekarz, nie chcąc chłopa puścić, poczęstował go chlebem, wódką raz i drugi, a wciąż poddawał mu do głowy różne medykamenta. Chłop tylko głową kiwał przecząco i gębą ruszał jak najęty.

— Nareszcie najadł się.

— Może senes? — pyta aptekarz po raz setny.

— Nie panicku, nie.

— Może aloes?

— Nie, i to nie.

— Może...

— Już wiem, już wiem, panicku, niech panicek sobie głowy na łamie, to smoła.

I wyszedł z apteki, mając kupić smoły na mieście.

## DOWCIPY I ŻARTY.

### Z koszar.

Pan kapitan odbywa z rekrutami lekcję salutowania. Majer żydek z Tarnowa nie może jednak jakoś pojąć. Po długiem tłumaczeniu, gdy kapitan był pewny, że uczeń go pojął, rzekł:

— Teraz ja będę przedstawiał wagon dworski, a ty masz oddać przepisany ukłon!

To powiedziawszy, zerwał się z miejsca i pomimo tuszy, sapiąc, przebiegł koło Majera, który ani się nie ruszył, ani nie salutował.

— A ty bydlę — woła kapitan — dlaczego nie salutujesz przed dworskim wagonem?

— Ny! — odparł uśmiechnięty Majer — po co ja mam salutować, jak w nim nikt nie siedział?

### Tłumaczenie.

— Jakto? Dopiero drugi dzień po ślubie i ty wracasz do domu nad ranem?

— Moja duszko, właśnie dlatego, że to drugi dzień po ślubie, to mogłem bardzo łatwo zapomnieć, że jestem żonaty.

### W restauracji.

Przyszedł gość do restauratora, lecz bez pieniędzy. Pyta się:

— Co jest jeść?

— Mówią, że jest kapłon z sosem.

— Co kosztuje kapłon?

— Dwie marki.

— A sos wiele?

— Nic nie kosztuje.

— Proszę sosu.

### Krótkie dni.

— Czemu ty wcale nie robisz?

— Bo teraz w zimie są takie krótkie dni, że nie warto nawet zaczynać.

### Na wsi.

Bartek: Wis ty, iocego zboze tak sybko wyrasta, kiej sie dobrze ziemię znawozi?

Maciek: A juści. Chce jak najprędzej z gnoju na świże powietrze wyżreć.

### Co łatwiejsze?

Ktoś zapytał raz Miltona (sławnego poetę angielskiego z 17 wieku) dlaczego w niektórych państwach król może być koronowany już w 14 roku życia, żenić się zaś może dopiero po skończeniu 18 lat.

— Bo łatwiej jest rządzić państwem, niż kobietą — odpowiedział Milton.

### Jasne jak słońce.

— Ho, ho, widzę, kupiłeś sobie rower! Ale skąd wzięłeś pieniędzy?

— Sprzedałem futro.

— A co zrobisz, gdy znowu nastaną mrozy?

— Sprzedam rower i kupię futro.


# ŚMIESZEK

## DODATEK HUMORYSTYCZNY

Wychodzi kiedy chce i kiedy mu się podoba.

**Dla czytelników naszych darmo a dla innych podwójna cena.**

**Nr. 6** **Dnia 2 kwietnia** **1930**


## Indyk za pięć złotych.

(Humoreska.)

— Jędrek! a co tam na obiad?

— Mleko, proszę pana!

— I pierogi?... Co?

— A juści!

— Bodajżeś pękł idjoto, panie dobrodzieju!

Ale „idjota pan dobrodziej nie pękał", tylko zęby w naiwnym uśmiechu pokazawszy, wynosił się z izby. Był to wyrostek dwunastoletni, syn gospodyni, u której my, trzej inżynierowie na pomiarach w K... będący, mieszkaliśmy na stancji. Od dziesięciu dni skazani na jarską kuchnię pani Walentowej, żyliśmy wyłącznie mąką i kartoflami na obiad, jajami na kolację. Mięso, ho!... przeszło trzy mile trzeba było gnać do miasteczka, gdzie czasem — bo nie zawsze — można było z trudem zdobyć kawał chabliny... Dobrym tasakiem dało się ono nawet porąbać — ale na zęby ludzkie za twarde było stanowczo!

Spróbowaliśmy raz i dało się spokój...

Złote góry obiecywaliśmy tedy babie za kurę, żeby skąd wydostała — *nikt nie chciał sprzedać!* A to, że nośna, to znów — sama mam mało — to Bóg wie, czem się wymawiały gospodynie — kury nie dostaliśmy, — a na kurczęta było jeszcze za wcześnie.

Spekulowaliśmy, jak się dało, żeby żyć możliwie; więc kwaśne mleko z kartoflami i kluski; więc kartoflana zupa — pierogi; jaja na miękko, jaja na twardo... Słowem, żyliśmy jak ów ruski chłop, co widział we dworze parę potraw na obiad, i zaprowadził potem u siebie w chacie menu: „bulba warena, bulba peczena i bulba takuj tak!" Byle trzy potrawy.

Najwięcej z nas cierpiał Władek M., bo bardzo był mięsożerny, a kartofle kłuły go w zęby. Dunderował i klął zapewniając, że kwaśne mleko jeszcze przed spożyciem działa nań chorobliwie.

Formalnie schudł nasz „pan dobrodziej".

Nazywaliśmy go tak żartobliwie — bo przysłowia „panie dobrodzieju" używał nieledwie co trzecie słowo. Nie byłem przytem, — ale zapewniono *mnie, że Władzio przy swoim ślubie miał przysięgać:* „Ja Władysław, panie dobrodzieju, biorę ciebie, panie dobrodzieju" i t. d.

Pobożny chłop był; co dzień wieczór odmawiał pacierz klęcząc.

Mimo tej pobożności jednak — nie słuchał naszych perswazyj i co do zgadzania się z wolą boską, z przeznaczeniem — i za mięsem wzdychając ciągle przemyśliwał o zmianie jedzenia...

Najbardziej go irytował piękny, młody indyk u księży gospodyni, którego spotykaliśmy zawsze, wychodząc rano w pole popod plebanję. Był to, wedle opowiadania pani Walentowej, ulubieniec proboszcza — o sprzedaniu go więc nie mogło być nawet pomyślenia!...

Ba!... od czegóż spryt?... „Pan dobrodziej" myślał, myślał i przecie w końcu wymyślił!... Zawołał nas na naradę wojenną, plan ułożyliśmy wieczorem doskonale — rano udało się wykonanie doskonale.

Jakże zatem?... Ho!... to było było skombinowane po mistrzowsku...

— Tylko gęba na guzik, panie dobrodzieju, — surowo upominał nas Władek, — bo jakby się wydało, no!....

I wybraliśmy się na drugi dzień rano jak zwyczajnie w pole.

Wszystko jak zwyczajnie — tylko Władek czegoś niedomagając, pożyczył sobie od pani Walentowej ogromną czerwoną chustkę, która dla zabezpieczenia od zimna (było 16 stopni plus Reaumira!) i kataru rozpostarł sobie na plecy jak szal.

Cóż się dzieje? Przed samą plebanją, gdy Władzio *dobrodziej stanął dla skręcenia papierosa* — nagle pojawił się indyk i na widok czerwonej chustki zagdakał straszliwie! Naczupierzył ogon, korale posiniały mu aż do fioletu, rozwścieklony rzucił się na czerwoną chustkę!...

Podnieśliśmy alarm straszliwy...

— Gwałtu! Ratunku! Na pomoc! — rozległy się wrzaski, a już Władek przygotowanym bykowcem łup indora po karku z całej siły...

— Gwałtu! panie dobrodzieju! — ryczał nad leżącym już bez duszy ptakiem, — gwałtu! Ludzie, panie dobrodzieju, ratujcie!

I dla pewności łupił indora po łbie, aż proch z gościńca ulatał!...

— Gwałtu! gwałtu!

Nadbiegli ludzie z plebanji — na czele pani Wirgilja — (ślicznie się nazywała — co?) księża gospodyni; rajwach, awantura, ryk!

My, niby to pokrzywdzeni gębowaliśmy na napad wściekłego indyka, gospodyni księdza wymyślała nam za zabicie ulubieńca, czeladź dodawała jej otuchy uwagami.

Ale najokropniej szarpał się Władek — panie dobrodzieju!

— A co to jest, panie dobrodzieju, żeby nie można przejść spokojnie do pracy! Takiego, panie dobrodzieju, napastnika powinno się trzymać na łańcuchu! Ja panie dobrodzieju skarżę jutro do sądu... Dostałem z przestrachu nerwowego, panie dobrodzieju, ataku!...